

Ateny, Jerozolima, Pcim...

ZABOBON PODKOBUJE FUNDAMENTY NASZEJ CYWILIZACJI. JERZY KOWALSKI-GLIKMAN



JAK BREDNIE PODBIŁY ŚWIAT

Francis Wheen

Tłum. Hanna Jankowska

MUZA

Warszawa 2005

Po angielsku o bredniach mówi się koloquialnie „mumbo jumbo”. Wyrażenie to pochodzi od nazwy rytualnych praktyk plemion Afryki Zachodniej. Sądzę więc, że w tytule książki Francis Wheena, felietonisty lewicowego brytyjskiego dziennika *The Guardian*, „brednie” należałoby zastąpić słowem „zabobon”. W kwestii absurdalności bredni wszyscy bowiem jesteśmy zgodni, świat natomiast podbija podłany mętną ideologią czy pokraczną teologią zabobon. To on jest tym, w co się wierzy głęboko, nie mając po temu żadnych sensownych racjonalnych podstaw. Jest wiarą w magiczną moc medycyny alternatywnej, w UFO, w kreacjonizm czy inteligentny projekt. Zabobon jest w swej pozornej prostocie zaraźliwy i jak groźna epidemia rozprzestrzenia się w naszej kulturze.

Jak brednie podbiły świat to zbiór felietonów będących przewodnikiem po zawiądnętych zabobonem świecie. Niektóre są przezabawne, inne przerażające, jeszcze inne chybione. Do jakiej kategorii każdy z nich zaliczyć – zależy od poglądów czytelnika. Ale u Wheena wszystkim obrywa się mniej więcej po równo. Jego bohaterami negatywnymi są na przykład politycy tak różni jak Ronald Reagan (ze swoją zasięgającą rady astrologów żoną) czy Tony Blair (oddający się – też w towarzyszywie żony – indiańskim rytuałom). Pamiętam jak na mistrzostwa świata w 1974 roku Haitańczycy, niepewni swoich piłkarskich umiejętności, przywieźli szamana. Nie pomogło – spuściliśmy im manto. Ale zupełnie już było mi nie do śmiechu, gdy kilka miesięcy temu, przed jakimś ważnym meczem, trener Wisły zaprowadził swoich zawodników do naszego lokalnego szamana, gdzieś na Śląsku. Oczy-

wście też skończyło się mantem, tyle że tym razem my oberwaliśmy.

Celem Wheena jest pokazanie, jak wszechobecny jest zabobon w otaczającej nas cywilizacji. Któż przy zdrowych zmysłach nie twierdziłby, że serial *Z archiwum X* oparty jest na faktach? A jednak jest on najczęściej cytowanym źródłem w pracach studenckich w Ontario – pisze Wheen. Zabobon podkopuje fundamenty naszej cywilizacji, coś, co można by nazwać postawą oświeceniową, do tego stopnia, że sam termin „oświecenie” nie kojarzy się już z XVII i XVIII-wiecznym ruchem myślowym, ale z *Drogą do oświecenia duchowego* czy *Radosną drogą do oświecenia prawej półkuli mózgowej* (to tytuły książek wyszukiwane przez Wheena w Amazonie).

A przecież według Kanta oświecenie to nic innego, jak „odwaga posługiwania się własnym rozumem”, „wyjście człowieka z niepełnoletności, w którą popadł z własnej winy”. Nawet dla znanego krytyka praktyki oświecenia, francuskiego filozofa i historyka Michela Foucaulta pozostaje ono nadal pewną postawą, etosem, życiem filozoficznym. Foucault, chociaż nie wierzy w prawdę obiektywną, uważa, że nie można przynajmniej przestać wierzyć w racjonalną argumentację. Problem z racjonalnymi argumentami jest jednak taki, że wymagają one myślenia, skupienia i wysiłku.

„Nietrudno zrozumieć, dlaczego człowiek z gminu nienawidzi nauki – pisał 80 lat temu, w przededniu słynnego procesu w Dayton, amerykański publicysta H. L. Mencken – Nienawidzi jej, ponieważ jest złożona, ponieważ w sposób niemożliwy do zniesienia obciąża jego ograniczoną zdolność pojmowania. Szuka więc on zawsze drogi na skróty. Takimi skrótami są wszelkie przesady, które mają uprościć, a nawet uczynić oczywistym to, co niezrozumiałe”.

I jeszcze jeden cytat z Menckena, już bezpośrednio związany z procesem, w którym rzecznicy kreacjonizmu próbowali wykreślić ewolucjonizm z programów szkolnych: „Kosmogonie, jakimi

zabawiają się ludzie wykształceni, są niezmiernie złożone. [...] Kosmogonia zawarta w Księdze Rodzaju jest wszakże tak prosta, że pojmie ją każdy kmiot. Jest wyłożona w kilku zdaniach. Ignorantowi oferuje nieodpartą sensowność nonsensu. Akceptuje ją więc z entuzjazmem, i ma jeszcze jeden powód, by nienawidzić mądrzejszych od siebie”. To ostatnie zdanie brzmi dziś może do bólu politycznie niepoprawnie, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że doskonale oddaje również rzeczywistość początku XXI wieku.

A niestety macki zabobonu oplątują już nie tylko „kmiotów” czy starających się przypodobać masom polityków. Zaraza dociera również do, wydawałoby się, uodpornionych na bzdury środowisk akademickich. I dotyczy to już nie tylko wyśmianych przez Sokala i Bricmonta w *Modnych bzdurach* postmodernistów.

Niedawno ukazała się praca jednego z najwybitniejszych współczesnych fizyków, laureata Nagrody Nobla, Stevena Weinberga. Weinberg stwierdza, że swój sukces XX-wieczna fizyka zawdzięcza konsekwentnemu trzymaniu się paradygmatu polegającego na budowaniu teorii i wyjściu z podstawowych ogólnych założeń symetrii i wewnętrznej konsystencji. Dalej zauważa, że modnej obecnie teorii strun nie daje się z takich założeń wyprowadzić. Cóż więc czyni w świetle takiej konstatacji? Postuluje kontynuację wyteżonych badań czy też może po prostu wyrzucenie teorii do kosza? Nic z tych rzeczy! Według Weinberga zmienić należy paradygmat. „Dziś dotarliśmy być może do punktu zwrotnego, radykalnej zmiany tego, co uznajemy za prawdziwe podstawy teorii fizycznej” – pisze.

Przez wieki polemika toczyła się między Atenami symbolizującymi rozum i Jerozolimą – symbolem wiary. Dziś do głosu doszedł Pcim, nasz swojski zabobon. Wheen sądzi, że wystarczy go wyśmiać, by szczył i zniknął. Obawiam się, niestety, że jest niepoprawnym optymistą. ■